

# Narzeczony z... nieba

## Fantastyczne przygody ze spadochronem

Angielski instruktor lotniczy Hell miał przed dwoma laty wydarzenie, o którym w parę godzin później opowiadał kolegom w kasynie londyńskiego Air Service, jako o sensacji niecodziennej.

### WYPADŁ Z SAMOLOTU

Wraz z młodym Kanadyjczykiem Mr. Soule, któremu udzielał lekcji pilotażu, wznosił się w powietrze dla dokonania dłuższego lotu. Pogoda była piękna i spokojna, toteż Hell postanowił skorzystać ze sposobności i przyzwyczaić ucznia do niektórych sytuacji w powietrzu. Przystąpił więc do wykonywania łatwiejszych akrobacji: pikowanie, a potem „beczka”. Nagle, patrząc z odwróconego grzbietem na dół aparatu na ziemię zauważył Hell, że z samolotu wyleciała jasna paczka, która szybko mknęła w dół.

— Oho, zgubiliśmy coś, ale co takiego?

Odwraca się więc poza siebie i... zimno mu się robi: miejsce ucznia puste.

Teraz pokazało się, że mniemany pakiet, to nieszczęśliwy Mr. Soule. Było widać zgóry, jak gorączkowo porusza rękoma i nogami, próbując uruchomić spadochron. Wreszcie poczał się wydymać powietrzem żółty parasol spadochronu. 600 m. młody kanadyjczyk na lotnika przeleciał jak kamień, dopiero o 700 m. od ziemi zaczął działać przyrząd ratunkowy spadochronu, ale działał jeszcze zbyt powoli i spadł, choć nie tak już gwałtowny, trwał dalej.

### RATUNEK

Hel wraz z aparatem puszcza się w pogoń: jedno pikowanie — wyrównanie, — potem drugie, trzecie, czwarte, wkońcu leci już na tej samej wysokości, co i jego uczeń. Na szczęście spadochron nareszcie rozwinął się w całej swej okazałości. Jeszcze kilkanaście sekund i Mr. Soule znika w drzewach jakiegoś parku. Tuż obok, na łączce Hell ląduje i spieszny z niepokojem do swego pupila. Na szczęście — uratowany!

— Nie wiem, jak się to stało — opowiadał Soule, tykając się z manierki z koniakami którą mu zaniepokojony konstruktor podał. — Byłem przypasany jak się patrzy. I nagle wyleciałem jak z procy. Dopiero w połowie drogi przypomniałem sobie, że istnieje przecież spadochron: dlatego tak późno zaczął funkcjonować...

### LĄDOWANIE W CUKIERNI

Niejedno mają do opowiedzenia również piloci uprawiający skoki ze spadochronem, jako specjal-

ność. Jeden z tych sztukmistrzów, lotnik niemiecki Kohnke, który skakał już przeszło 300 razy, niekiedy tylko wychodząc z eksperymentu z niewielkimi podrapaniami, pamięta dotąd jeden z swych pierwszych skoków, którego dokonał w r. 1928 w Wiedniu.

Był to dzień silnie wietrzny, tak, że Kohnke, został zniesiony przeszło o kilometr w bok od miejsca, na którym zamierzał początkowo lądować. Pod nim drzewa. I nagle, z najwyższym zdumieniem stwierdza, że leci prosto na słynny Prater (wiedeński Lunapark). Spadochron, jak wiadomo nie pozwalał przebiegać miejscem lądowania. Tak więc przystąpił się Kohnkemu, że jego zetknięcie się z ziemią wypadło akurat na pełnym cukrów i ciastek straganie jednej ze sprzedawczyń słodczy. „Sensacja” była olbrzymia, gdy Prater jest zawsze pełny gapiów, ale niemiłe ją wspomina Kohnke: miał bowiem zapłacić przekupce 300 szylingów odszkodowania.

Inna zaś historia wydarzyła się w jednym z państw środkowo-europejskich z okazji ćwiczeń wojskowych.

### SPADOCHRON I MAŁŻEŃSTWO

Młody żołnierz pułku lotniczego miał się żenić. I wszystkie formalności były już załatwione: zezwolenie władzy przełożonej, urlop, wolna karta jazdy. Wtem na trzy dni przed terminem ślubu, przychodzi rozkaz: wszystkie urlopy wstrzymane, dopóki żołnierze nie poskładają egzaminów z egzakowania ze spadochronami.

To ci pech! Zrozpaczony żołnierz zgłasza się do komendanta: czyby nie można egzaminu przełożyć, może odwlec, a może przyspieszyć, do narzeczonej droga daleka, wszystkie przygotowania poczyniono, na odwołanie ślubu już zapóźno.

— Jak rozkaz to rozkaz! Zrozumiano? — spotkały go przy raporcie wymyślenia komendanta.

— Rozkaz, panie kapitanie...

Co było robić? Trzy dni później, zamiast na ślub do kościoła, biedny żołnierz wybierał się na lot ćwiczebny, w czasie którego miał dokonać egzaminowego skoku. Przy wsiadaniu do samolotu otrzymuje zalakowaną kopertę z oznaczeniem miejsca, w którym skok ma być wykonany. Kopertę wolno mu jednak otworzyć dopiero w czasie lotu.

Mineło jednak już parę minut od startu, aparat wznosił się coraz wyżej, a żołnierz nie myślał jeszcze o twierdzeniu koperty, przybity całkiem myślą, co też to za

skandal dzieje się w tej chwili w domu narzeczonej, gdzie go na próżno czekają. A wreszcie — otwiera kopertę.

I tu wyrwał mu się z piersi okrzyk zachwytu: Rozkaz kapita- na polecał mu dokonać skoku właśnie w tej wsi, w której miał się odbyć jego ślub. Obok dołączone

## 0 krok od śmierci

### odbywa się ciężka praca nurka

Angielski nurek John W. Bateman liczy lat przeszło 70, a w zawodzie swoim był czynny okragle pół setki lat. Ile razy odcierał się o śmierć? W każdym razie, Mr. Bateman miał szczęście: że może opowiadać o swoich przygodach, z których niejedna powinna była być jego kłopotem, zawdzięcza tylko pomysłnemu zbiegowi okoliczności.

Tak było w początkach jego kariery, gdy w r. 1886 w Południowej Ameryce, na głębokości 20 metrów pracował nad rozsadzaniem zapomocą dynamitu raf koralowych. Morze roilo się od rekinów, toteż pracę poprzedzało zawsze odpędzanie tych potworów za pomocą kilku eksplozji. Ale środek ten, jak się na sobie samym Bateman przekonał, działał tylko na krótki dystans.

Oto bowiem jednego dnia, gdy już przebywał w morzu ze trzy godziny, zobaczył z przerażeniem podniósłszy głowę, że tuż nad nim unosi się paszcza rekina. Sygnał alarmujący, by go wyciągnąć, a równocześnie bambusowa włócznia do ręki. Szczęśliwie udało się trafić i rekina uśmiercić. Niewiele byłoby to pomogło, bo już z różnych stron całe ich chmary naddągały, ale na szczęście nurek pośpiesznie wyciągnięto.

Niemniej tragicznie było na Madagaskarze, parę miesięcy później, gdy pracując jako poławiacz pereł, uczył nagle jakiś niesamowity uścisk dokoła ręki i z najwyższym przerażeniem, zobaczył olbrzymiego polipa, który na patrzący wielkimi, upiornie nieruchomymi zielonemi oczyma. Nurek dobył noża i przeciął złowrogie ramię, ale już potwór wyciągnął ku niemu tuzin innych małek. Szczęście że na górze zaobserwowano rychło zacerwienie od krwi polipa morze i nurek wyciągnięto. Był już bliski omdlenia.

Innym razem, czyszcząc jeden

było nowe sezwolenie na urlop. Dwie godziny później znaleźli się na miejscu, mogli patrzeć zgóry na zebranych gości weselnych i na zdenerwowanie, jakie się wznosiło spowodu nieprzybywania pana młodego. W chwilę później spadochron lądował na łące pod wsią.

ze zbiorników w zakładzie wodociągowym i naladowawszy zwierem metalowe wiadro, Bateman spostrzegł nagle z przerażeniem, że wiadro zahaczyło o gumową rurę, doprowadzającą mu powietrze do aparatu i że się zaczyna dusić. Szczęście, że miał na tyle przytomności umysłu, iż czempredziej przeciął linę, na której wiadro już się unosiło ku górze. A dopiero uczyniwszy to, i stwierdziwszy, że się nie pomylił, przecinając zamiast liny wę- ża z powietrzem, przypomniał sobie, że przecież normalnie wiadro było umocowane na drucie, a linę doczepiono tylko wyjątkowo w tym wypadku, ponieważ drut był zbyt krótki.

I nie mówić tu, że bywają opatrnościowe wypadki?

Innym zaś razem, było to w Meksyku, pracował Bateman przy budowie portu. Rzeczą nurka było przygotować na dole wszystko co było potrzebne dla należytego osadzenia na dnie morza olbrzymich 40-tonnowych bloków skalnych. (Wówczas nie znano jeszcze obecnych cementowych wydrążonych skrzyń zwanych „Kesonami”). Pewnego razu, pełniąc na dnie morza swoją pracę, zauważył nagle z niepokojem, że jakos woda zaczyna ciemnieć. Podnosi głowę i widzi, że nad nim opada w dół potworna masa kamienia. Robotnicy pracujący na górze zapomnieli o sygnale ostrzegawczym. Nurekowi niełatwo jest wykonać szybkie ruchy, gdy kostium waży kilkadziesiąt kilogramów. Bateman jednak „wyrwał” ile tylko mógł i jedynie dzięki temu blok skalny jedynie się otarł bokiem.

Innym razem, tuż obok niego runął z trzaskiem do morza cały żóraw, na którym bloki opuszczano. I tu niewiele brakowało, a koniec byłby bardzo tragiczny.

Jeśli w tych warunkach Bateman mógł być nurkiem przez lat 50, to rzeczywiście może mówić o udanym rekordzie.



## W kręgu poszlak

Wróciwszy z biura, gdzie z kaligraficzną precyzją wpisał kilkanaście tysięcy zgrabnych cyferek do księgi głównej, pan Michał zanurzył się w głębokim fotelu i oczekując na obiad, przeglądał gazetę. Wzrok jego zatrzymał się chwilę na pierwszej stronie, gdzie tytułowe litery sprawozdań z konferencji pokojowych przypominały grubością lufy armatniej, przetrzucił wziankę o tajnym udoju krów, aż wreszcie z pewnym zacięciem zatrzymał się na procesie.

— Hm, coraz więcej poszlak — mruknął, czując miły dreszczyk emocji, zaciskający się dookoła szyji truciela, niby sznur na którym niechcinnie zawisnie.

Pochłonięty zeznaniami ekspertów, świadków i amatorów-detektywów, ani się nie spostrzegł, jak waza z zupą grzybową wylądowała na stole i dopiero chóralne nawoływania żony, teściowej, córki, trzech córek i szwagra zmusiły go do odłożenia gazety.

Rozmowa prz. stole potoczyła się według ukartowanego zgóry programu — Zosi trzeba kupić płaszcz, Mani — pantofle, Jadzi trzeba zapłombować ząb, zonie wiosenny kapelus, a i mamie też coś tam starego przerobić co będzie wyglądało zupełnie jak nowe. Poruszano też sprawy zwykłe i stare — komornik, komorne, gaz, posada dla szwagra itd. Pan Michał wysłuchiwał tego z niezmąconym spokojem, aż gdy zupa dobiegała ku końcowi, drgnął nagle, zaprzestał jedzenia i przebiegając łyżką na dnie talerza, zwrócił się do małżonki.

— Patrz, Anulko, znalazłem tu na dnie talerza jakiś biały proszek, czy nie wiesz przypadkiem co to być mogło? — to mówiąc podsunął żonie talerz przed oczy.

Istotnie coś bieleło się na dnie. — To pewnie trochę maki zostało — rzekła wpatrując się w proszek z uwagą.

— Maki powiedział... przecież maki nie treszczy jak piasek, o posłuchaj! — pan Michał zaczął rozcierać proszek łyżką, co wywołało niemiły zgrzyt.

Wszyscy spojrzeli na siebie z

niepokojem, a pan Michał odsta- wił talerz ostentacyjnie.

— No, no, to ciekawe — wycedził przez zęby, spoglądając podejrzliwie na obecnych i bębniąc palcami po stole.

Podano klops, do którego zabrał się z ostrożnością, obwąchawszy go i obejrawszy dokładnie. Nic w nim nie znalazł, ale zato w kompie znowu zagrzętało coś na dnie. Przy stole zaległo grobowe milczenie. Pan Michał, powstając, nie podziękował tym razem za obiad i nie ucałował żonie ręki, co czynił zazwyczaj.

— To podejrzan — mruknął odchodząc.

Układając się do poobiedniej drzemki zdjął buty i wdziewając swoje ulubione błękitne pantofle zauważył w nich na dnie biały proszek. Znowu proszek.

— Anulko! — zawołał z irytacją w głosie — co to jest. — Pokazał bielejące spody pantofli.

— To ja wysypałam — przyznała się złamanym głosem.

— Ty? ty wysypałaś? A co to jest? — wykrzyknął.

— Talk.

— Tal?

— Talk taki proszek do butów,

żeby było wygodnie wkładać.

Pan Michał cisnął pantoflami w lustro.

— Co wy ze mną robicie, do stu diabłów, chcecie mnie zgładzić? O Boże, cóż to za piekielny dom. To otchłań, ohda! — wrzeszczał tupiąc bosami pięta- mi. Precz z moich oczu!

Przerażona małżonka wybiegła z placem, a pan Michał oddał się spokojnej drzemce. Przy kolacji w oczach obecnych malował się przestrah. Jedli niewiele i nie mówili o wydatkach pieniężnych, ażeby pana domu nie drażnić.

Dopiero nazajutrz, gdy czesząc się, stał przed lustrem, pani Anulka przypomniała mu delikatnie kwestię płaszcza Zosi.

— Patrz! widzisz? — odpowiedział jej na to, pokazując na swojej łysinie — przyjrzyj się.

— Nic nie widzę — odrzekła.

— Jakto nie widzisz, że włosy mi wypadają garściami. Plackowate łysienie, to wasza sprawa — twoja i twojej mamy! Ale nie myśl, że uda ci się załatwić to gładko, dzisiejsza medycyna sądowna wszystko wykryje. I prawda wyjdzie na jaw!

Od tego czasu, gdy którakolwiek z domowniczek zagadywała z ostrożną o pieniądze, pan Michał rzucał na nią wyraźne podejrzenie i groził, że postawi ją w stan oskarżenia. Wobec większych wydatków wołał.

— Trucielle! Mordercy! Otchłań! — i zapowiadał, że ma do wody rzeczowe w rękę, które odda do analizy.

Ten system zmniejszył znacznie domowe wydatki pana Michała.

Jur.

## HUMOR

### PYTAJĄCY SYNEK

Mały synek, będący na przechadze z ojcem, zadaje mu ustawicznie pytania. A dlaczego ptaszki ćwierkają, a dlaczego zimą drzewa nie marzną, chociaż są gołe i t. d.

Ojciec ma już dość pytań, powiada tedy do jednynaka:

— Jeżeli zadasz mi jedno jeszcze pytanie, stłukę cię na kwaśne jabłko.

— A to za co, tatusiu?

### PRZODKOWIE

On. — Gdybym zliczył wszystkich moich przodków dałoby to sporą cyfrę...

Ona: — Tak? A z iloma zera- mi?

(C. d. n.).

Francois Mauriac

15)

## CZARNE ANIOŁY

Z upoważnienia autora przełożyła Helena Hellerówna

### Powieść

Akcentowała końcówki, ciekawie je intonując. Stał oparty o ogrzewalnik i patrzył na nią, przysuwał się, ażeby na nią patrzeć. Gdyby można raz wreszcie skończyć z tą kobietą, wyrzucić ją... Dlaczegożby nie dziś? Wszak ona też tak łatwo nie mogła wykonać swych grózb i musiała się wystrzegać zwrócenia na siebie uwagi policji.

— Wiem, o czym myślisz — odezwała się nagle.

Drgnął. Kazała sobie dać papierosa i wyciągnęła krótką rękę, która przy czerwonych paznokciach wydawała się jeszcze brudniejsza.

— Myślisz, że nie wystąpię przeciwko tobie? Mylisz się, kochasiu... Nie wiesz wszystkiego.

Alina przyciągnęła go bliżej ku sobie i rzekła:

— Wyobraź sobie, że ktoś... komu wyrządziłeś wiele złego, komu, jak to mówią, złamałeś życie, kogo pozba- wiłeś czci, ktoś z wysokiej sfery, komu nie zależy na pieniądzech, jest zdecydowany na wszystko, byle się zemścić na tobie...

— Nie wiem, o kim mówisz — wyjąkał.

Ale natychmiast przyszło mu na myśl kilka nazwisk.

— W każdym bądź razie przysięgam ci, że jeżeli ów

pan pragnie wyrzucić na mnie zemstę, to nie tylko ja padnę jej ofiarą — dodał energiczniejszym tonem. — Możesz udawać śmiały...

— Ależ dzieciaku! Znasz mnie chyba...

Śmiała się zgłębi gardła, przez zamknięte usta, aby nie pokazywać zębów.

— Gdy zobaczy papiery, dawno mnie tu już nie będzie. Ów pan, jak go nazywasz, przysuwa zgóry wszystkie moje warunki. Podejmuje się utrzymywać mnie za granicą, w spokojnej miejscinie... Nie wierzysz mi?

— Nie, bo gdyby to było prawdą, już dawno przyje- łabyś tę propozycję... Wszak dla moich pięknych oczu...

— Oczywiście, że nie, kochanie! Ale przyszywałam się do Paryża. Nie lubię podróżować. Tutaj czuję się najlepiej... Wiesz więc, że nie udaję. W moim interesie jest, abyśmy doszli do porozumienia. Ale ty powinienes także o to się starać... Musisz być grzeczną.

Mówiła to wszystko spokojnie, nie unosząc się gniewem, gdyż przywykła do tych targów.

— Czy ów pan, o którym mówisz, to markiz? — za- pytał z wahaniem.

— Nie można niczego przed tobą ukryć. Przypom- nij sobie, ile wyciągnąłeś od niego za listy jego żony... Gdyby jeszcze szło tylko o pieniądze, ale wszak wiesz, czemu dlań była żona... którą mu zabrałaś i którą doprowadziłaś do upadku. I to małżeństwo córki, które z jej powodu nie doszło do skutku... Dziewczyna stała się neurastenicką i w końcu musiano ją oddać do zakładu dla obłąkanych.

— Ty mnie do tego nakłoniłaś...

I dodał porywczo:

— Byłby ją kto inny zgubił... Nie mówmy o tem.

## Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej wpa- ty (na wszystkich stronach po 6 szpalt) na 1-ej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekar- ski — 30 gr. Nekrologa po 3 gr. Drobnie po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a duży druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunika- ty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-66 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.